

Ucieczka z przedmieścia sprzed pięciu milionów lat

2015

W każdej rozmowie o tym, kim jesteśmy, kim byliśmy i kim być możemy, prędzej czy później musi pojawić się opowieść o Mężczyźnie-Łowcy. I nie tylko o Mężczyźnie, ale także o Kobiecie i Dziecku. Istnieją niezliczone warianty tej historii, wszystkie mniej więcej podobne: w czasach prehistorycznych mężczyźni polowali i przynosili zdobycz do domu, aby nakarmić kobiety i dzieci, które tymczasem siedziały z założonymi rękami, całkiem od nich zależne. Na ogół to wszystko działo się w rodzinach nuklearnych, gdzie mężczyźni zapewniali byt wyłącznie swoim najbliższym, a kobiety nie tworzyły żadnej wspólnoty współpracującej przy wychowaniu dzieci. W każdej z tych wersji kobieta jest służącym wyłącznie do rozmnażania tłumokiem.

Choć ta opowieść stawia tezy na temat społeczności sprzed dwustu tysięcy, a nawet pięciu milionów lat, ona sama nie jest zbyt stara; skądkolwiek się wzięła, wydaje się, że szczyt jej popularności przypadł na połowę ubiegłego

wieku. Oto wyimek ze słynnej pod koniec lat sześćdziesiątych *Nagiej małpy* Desmonda Morrisa.

Ponieważ okres zależności potomstwa od rodziców trwa u małpy drapieżnej niezwykle długo, a opieka nad nim jest bardzo absorbująca, przeto samice nie mogły prawie wcale opuszczać stałych siedzib. (...) Zespoły osobników udających się na łowy, w przeciwieństwie do zespołów łowieckich u „czystych” mięsożerców, miały teraz składać się wyłącznie z samców. (...) Wyruszyć na poszukiwanie pokarmu, pozostawiając swe samice na pastwę zalotów innych samców, było dla samca prymatów rzeczą niesłychaną. (...) Tak doszło do powstania par monogamicznych.

Inaczej mówiąc, powyższa narracja próbuje wywieść społeczno-gospodarcze stosunki dominujące na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku wprost z początków naszego gatunku. Lecz dla mnie jest to opowieść o amerykańskim przedmieściu sprzed pięciu milionów lat. Pramięczyźni gdzieś idą – najwyraźniej wszyscy, bo jakoś nie widać tu chorych ani starych, ani tych, którzy zwyczajnie lubią posiedzieć w kucki i pochwalić się fantastyczną antylopą, którą upolowali w zeszłym tygodniu. Nie – wszyscy dzień w dzień biorą swoje włócznie i łuki i wyruszają na cały dzień do roboty, gdzie odbijają swoje prehistoryczne karty zegarowe. Tymczasem kobiety z dziećmi czekają przy domowym ognisku, aż faceci

przyniosą do domu bekon. Mężczyzna karmić kobieta. Kobieta powiełać geny mężczyzna.

Jak zwróciły uwagę antropolożki, u podłoża wielu podobnych historii często kryje się niepokój o wierność kobiet i władzę mężczyzn. Wyjaśnienia takie jak powyższe mają ten niepokój uśmierzyć, przedstawiając wierność jako coś, co da się kupić za kawałek mięsa.

W 1966 roku na Uniwersytecie Chicago odbyła się nawet konferencja „Man the Hunter” [Męski łowca], której owocem była książka o takim tytule. Przeszukując jej cyfrową wersję, słowo „kobieta” znalazłam dopiero na siedemdziesiątej czwartej stronie. Występowało ono w zdaniu: „Nie przemieszczają się mniej sprawni członkowie grupy, osoby stare oraz kobiety i dzieci”. Równie rzadko pojawia się słowo „zbieractwo”, mimo że książka podobno dotyczy wspólnot łowiecko-zbierackich. Byłaby to jedynie historyczna ciekawostka, gdyby nie fakt, że te historie utkwiły w ludzkiej pamięci. Od mainstreamu po mizoginiczny margines, ludzie naszej epoki sprzedają je jako prawdziwe informacje o tym, kim rzekomo byliśmy kiedyś i, nader często, kim jesteśmy teraz.

Ten osobliwy wytwór fantazji biologii ewolucyjnej lepiej poznałam pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy pisałam książkę o dziejach pieszych wędrowek. Natrafiłam wówczas na prace C. Owena Lovejoya, anatoma, który od ponad dekady zamieszczał w prasie naukowej artykuły na temat ewolucji chodzenia u ludzi. Jego opowieść o związkach monogamicznych, choć technicznie bardziej

skomplikowana niż wersja Morrisa, jest w gruncie rzeczy podobna: „Dwunożność stanowiła istotny element nowej strategii rozrodczej, gdyż ręce samca pozostawały wolne, dzięki czemu mógł on przynosić partnerce pożywienie zdobyte gdzieś dalej”. Czyli znów – chodzenie i wolne ręce zarezerwowane były dla facetów. Kobiety, jako istoty zależne, siedziały w domu.

Szeroko cytowany esej Lovejoya z 1981 roku, *The Origin of Man* [Pochodzenie człowieka], zawiera nawet rozdział pod tytułem *The Nuclear Family* [Rodzina nuklearna]. Autor utrzymuje w nim, że Mężczyzna-Łowca – osobnik jeszcze bardziej monogamiczny niż myśliwy Morrisa z „jego samicami” – nie przynosił mięsa całej grupie, lecz tylko swojej wiernej przyjaciółce i ich wspólnemu potomstwu. Teza ta wydaje się mocno wątpliwa, zwłaszcza gdy mowa o dużym martwym zwierzęciu w ciepłym klimacie albo o wspólnie upolowanej zdobyczy. Czyż nie chcielibyśmy raczej podzielić się łupem i ucztować z całą wspólnotą? Tak czy inaczej, Lovejoy upiera się, że mężczyźni dostarczali, kobiety zaś czekały, a przy okazji teoretyzuje na temat „mniejszej mobilności samic”. Po czym podsumowuje: „Być może rodzina nuklearna i ludzkie zachowania seksualne mają swój początek w epokach znacznie poprzedzających plejstocen”.

Dowodów przeczących tezie o Mężczyźnie-Łowcy nie brakuje. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku Elizabeth Marshall Thomas prowadziła badania ludu, który bywa nazywany San, mieszkającego na pustyni Kalahari.

Uważa się, że ze wszystkich ludów na naszej planecie San jeszcze do niedawna najdłużej podtrzymywali niezmienny, pradawny sposób życia. Ustalenia Thomas dowodzą, że przynajmniej w ich wypadku twierdzenie Morrisa, jakoby „niezwykle długi okres zależności potomstwa od rodziców powodował, że (...) samice nie mogły prawie wcale opuszczać stałych siedzib”, jest ewidentną nieprawdą. Cała badana grupa systematycznie zmieniała miejsce pobytu, ponadto rodziny mogły się przemieszczać niezależnie od grupy. Kobiety poznane przez Thomas niemal codziennie oddalały się, by zbierać żywność. Dzieci, które były zbyt duże, by je nosić, ale nie nadążały jeszcze za matkami, najczęściej zostawały w obozie pod czyjąś opieką. Ponadto z badań Thomas jasno wynika, że łowiectwo i zbieractwo nie są całkowicie rozdzielne: „zbieracze – opowiada – często znajdują zwierzęta mniej ruchliwe: żółwie, węże, ślimaki i pisklęta”. A zatem nie tylko mężczyźni San dostarczali pożywienie, więcej – nie tylko mężczyźni przynosili mięso. Oczywiście, nikt nie twierdzi, że mężczyźni nie przynosili mięsa lub że nie byli ważni. Po prostu o żywność starali się wszyscy, nawet dzieci. I wszyscy byli ważni. Thomas wspomina, że kiedy pewien nadzwyczajny łowca, który potrafił doścignąć antylopę w biegu, któregoś dnia zabił trzy duże sztuki, to czekał przy zdobyczy, aż jego żona i jej matka zwerbują więcej osób, aby zanieść mięso do obozu. Ten naprawdę wielki myśliwy musiał polegać na bardziej mobilnych kobietach i całej społeczności, żeby poradzić sobie ze zdobyczą. „Mięso jednoczyło ludzi – notuje

Thomas. – Życiodajny mięsny posiłek był przeznaczony dla wszystkich”. Mężczyźni San nie polowali jako indywidualiści, głowy nuklearnych rodzin; polowali jako członkowie społeczności.

Mięsem dzielili się także Inuici, o czym pisał Peter Freuchen, pisarz i odkrywca, który na początku XX wieku przebywał wśród nich przez kilka dziesiątek lat. Przytacza on historię o tym, jak jego żona, Inuitka, bezlitośnie wykpiła pewną skąpą kobietę, której mąż upolował fokę, a ona nie podzieliła się z pozostałymi. Dzielenie się było więc nie tylko kwestią przetrwania, lecz także etykiety. Nawet wśród Inuitów, chyba najbardziej mięsożernych ludzi na naszym globie, kobiety czasem towarzyszyły mężom w długich łowieckich wyprawach; w ujemnych temperaturach zniszczenie ubrania groziło śmiercią; wyżywieniem, odzieżą i wypoczynkiem myśliwych zajmowały się kobiety.

„Takie sobie bajeczki” o męskiej niezależności fałszywie ukazują również dynamikę rodzin rolniczych i rzemieślniczych, robotników przemysłowych i urzędników. Większość rolników pracowała w domu – poszerzonym o pola i sady – razem z rodzinami. Również żony i dzieci rzemieślników na różne sposoby uczestniczyły w ich zajęciach. A kiedy wybuchła rewolucja przemysłowa, kobiety i dzieci z klasy robotniczej poszły do pracy w zakładach i warsztatach i do dziś są wyzyskiwane ponad siły w fabrycznych norach Gwatemali, Chin i Bangladeszu.

Każdy ma swój udział. Można powiedzieć, że kobiety są zależne, ale tylko wtedy, kiedy to samo powiemy

o mężczyznach. Zależność to niezbyt pomocna miara; być może lepszym probierzem byłaby współzależność. Kobiety w większości nigdy nie były zależne i bezużyteczne; teraz na ogół również takie nie są. Opowieści o Mężczyźnielowcy lansujące pogląd, że mężczyzna daje, a kobieta bierze, że mężczyzna pracuje, a kobieta się leni, to zmyślane historyjki mające usprawiedliwić dzisiejsze postawy polityczne. W tym roku pewien wzorcowy okaz krzykacza od praw mężczyzn napisał w mediach społecznościowych, że kobiety ewolucja w ogóle ominęła,

bo nigdy nie pracowały (...). A teraz wylądowaliśmy w tym rakowatym szambie babskiego zwyrodnienia, które musimy znosić od rana do wieczora. Trzeba wysłać kobiety same w świat, niech zdechną albo przeżyją bez żadnej pomocy z zewnątrz, to może załapią się na ewolucję i wreszcie dorosną do człowieczeństwa.

Cała ta furia bazuje na fikcji, co byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było takie smutne; widzimy tu bowiem, w skrajnej formie, bardzo rozpowszechnione przekonanie, że rodzaj ludzki składa się z osobników płci żeńskiej i męskiej, którym przypisane są sztywne i wyalienowane role.

Co ciekawe, obraz ten zawiera pewną sprzeczność: z jednej strony sugeruje, że kobiety nigdy nie pracowały, z drugiej zaś podkreśla, że trud rodzenia i wychowywania dzieci tak je przytłaczał, że nie mogły ani na chwilę oddalić się od ogniska (lub jaskini, lub drzewa). Jakby przez cały

czas kobiety, niczym Madonny na obrazach, dosłownie miały ręce pełne dzieci, mimo że niemal na pewno, zostając matkami, tylko przez jakiś czas koncentrowały się na niemowlętach i maluchach, przedtem zaś oraz potem, a całkiem możliwe, że i w trakcie tej fazy macierzyństwa, prowadziły względnie nieskrępowane życie.

Historie promujące ideę patriarchalnej rodziny nuklearnej nie mają wiele wspólnego z realną pracą kobiet w ciągu dziejów lub pradziejów. Sugerują natomiast, że kondycja ludzka zawsze przypominała oczekiwania, jakie w XX wieku stawiano zamężnym gospodyniom domowym z klasy średniej. Nawet sama Hannah Arendt przyznaje, że kondycja kobieca rzadko wykraczała poza produkowanie potomstwa. Opisując życie codzienne w starożytnych Atenach, widzi kobiety zamożne, obywatelskie żony i córki po prostu zamknięte beczynnie w domach, co musiało ograniczać ich możliwości oraz udział w życiu publicznym. Lecz ateńscy mężczyźni niekoniecznie coś produkowali; żywność dostarczano ze wsi i odległych kolonii, a większość prac fizycznych wykonywali niewolnicy i chłopci. Innymi słowy, Atenki ciągle rodziły dzieci, mimo że Ateńczycy przestali już zdobywać pożywienie. A jednak w *Kondycji ludzkiej* Arendt podkreśla:

Było rzeczą oczywistą, że podtrzymanie indywidualnego życia winno być zadaniem mężczyzny, a przetrwanie gatunku zadaniem kobiety, i obie te naturalne funkcje, praca mężczyzny związana z dostarczaniem

pożywienia i praca kobiety rodzącej dzieci, były podporządkowane temu samemu naciskowi życia.

Najwyraźniej nawet Arendt nie potrafiła się oprzeć zgrabnej symetrii między „zadaniem mężczyzny” a „zadaniem kobiety”. Tymczasem oprzeć się jej należy.

Przez większą część dziejów praca w domu była znacznie cięższa niż obecnie. Trzeba było przerzucać węgiel, rąbać drewno, podkładać do ognia, ciągnąć wodę ze studni, wylewać nocniki, prać wszystko ręcznie, doglądać zwierząt albo je szlachtować, piec chleb, od zera wytwarzać tkaniny, nici, ubrania i mnóstwo innych rzeczy. Oczywiście, zawsze istniały kobiety próżnujące, lecz zazwyczaj były to żony próżnujących mężczyzn, którzy możliwość próżnowania zawdzięczali przecież nie kolegom myśliwym, lecz służbie, w dużej mierze także złożonej z kobiet.

W każdym razie próżnowanie nie było pierwotnym stanem ludzkości i do dzisiaj nie jest to kondycja większości kobiet. Owszem, przez pewien krótki okres w historii świata zachodniego rozwój przemysłu ułatwiał prowadzenie domu, ponadto kobiety z klas średnich w większości nie zasilaly szeregów najemnej siły roboczej. Można więc w nich widzieć bezproduktywne konsumentki, choć wówczas trzeba by pominąć całą pracę związaną z wychowaniem dzieci, prowadzeniem domu i wspieraniem zarabiającego małżonka. Okres ten, trwający kilka dziesięcioleci, nie rozpoczął się jednak pięć milionów lat temu, ale znacznie później, i dobiegł końca, gdy ogólna

obniżka płac zmusiła kolejne kobiety do zasilenia szeregów zatrudnionych.

Obecnie w Stanach Zjednoczonych czterdzieści siedem procent ogółu pracowników to kobiety, przy czym siedemdziesiąt cztery procent owych kobiet jest zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin. Podobny lub nawet wyższy odsetek spotykamy w całym zindustrializowanym świecie. W innych miejscach globu kobiety uprawiają żywność, przynoszą wodę i drewno na opał, wypasają bydło, rozcierają maniok i ręcznie mielą ziarno.

Patriarchat – co oznacza zarówno męską dominację, jak i społeczeństwo obsesyjnie przywiązane do dziedziczenia w linii męskiej i ścisłej kontroli seksualności kobiet – wytwarzał, w różnych miejscach i okresach, rozmaite typy zależnych, nieproduktywnych kobiet, którym prawo i obyczaj pod groźbą represji ograniczały dostęp do wykształcenia, zatrudnienia i zdobywania zawodu, niekiedy nawet zamykając je w domu, krępując za pomocą stroju bądź okaleczając fizycznie. Jeśli więc niektórzy mizogini narzekają, że kobiety to nieruchawy ciężar – to muszą pamiętać, że w dużej mierze stało się tak właśnie za sprawą mizoginii.

Antyautorytarne antropolożki i feministki od dawna usiłują obalić historie o Mężczyźnie-Łowcy. Zajmują się tym na przykład Elaine Morgan w książce z 1972 roku *The Descent of Woman* [Pochodzenie kobiety] oraz Sarah Blaffer Hrdy w pracy *The Woman That Never Evolved* [Kobieta. Ewolucja, której nie było] wydanej w 1981 roku, solidniejszej pod względem naukowym i proponującej teorie

alternatywne. Nawet antropolog Marshall Sahlins, jeden z uczestników konferencji „Man the Hunter”, a także współautor książki pod takim tytułem, w 1972 roku zaprezentował traktat *Stone Age Economics* [Gospodarka epoki kamienia łupanego], w którym dowodził, że życie ludzkich grup łowiecko-zbierackich obfitowało w czas wolny i pożywienie.

Wszystkie te historie łączy jedno podstawowe założenie: to, kim jesteśmy, zostało zadekretowane bardzo, ale to bardzo dawno temu. Zgodnie z tą logiką można twierdzić, że skoro kiedyś jedliśmy wszystko na surowo, to nie powinniśmy niczego gotować, a skoro chodziliśmy na czworakach, to dwunożna istota nie ma racji bytu. Mimo że jeszcze nie tak dawno temu dieta ludzi w niektórych cieplejszych rejonach planety była niemal wyłącznie wegetariańska, w Arktyce zaś opierała się niemal wyłącznie na mięsie.

Jesteśmy gatunkiem o niezwykłej zdolności adaptacji. Żyjemy w miastach, w grupach wędrownych i w rodzinach nuklearnych; bywamy poligamiczni lub poliandryczni, ślubujemy celibat lub uprawiamy seryjną monogamię; pobieramy się z ludźmi odmiennej albo tej samej płci lub nie pobieramy się wcale; wychowujemy biologiczne i adoptowane potomstwo, jesteśmy czułymi ciotkami i wujkami bądź nie znosimy dzieci; pracujemy w domach, w biurach, jako robotnicy sezonowi lub pielęgniarki rejonowe; żyjemy w społeczeństwach, w których segregacja płciowa jest normą, w takich, w których wszyscy się mieszają, lub

w takich, w których sama idea płci właśnie ulega rewizji jako binarna i przeciwstawiająca.

Pewne rzeczy są dane przez biologię, w naszej przeszłości powtarzają się pewne wspólne wzorce. Ale niekoniecznie jesteśmy tym, kim byliśmy kiedyś, a to, kim byliśmy kiedyś, niekoniecznie jest zgodne z tym, co opowiadają „takie sobie bajeczki”. Teraźniejszość nie przypomina opisanej w tych bajeczkach przeszłości – co więcej, realna przeszłość także taka nie była. Musimy wreszcie przestać powtarzać historię o biernej, zależnej kobiecie, która siedziała w domu, czekając na swojego mężczyznę. Nie siedziała biernie. Była zajęta. I nadal jest.